

# Marzenia ściętej głowy

Stosunki w rodzinie pp. N.

Dziś o świcie obudziło mnie miauczenie kota. Był mokry i zziębnięty. Wyjrzałem na podwórze. Padał rzęsy deszcz. Strumień pod laskiem figowym wystąpił z brzegów, zalewając okoliczne plantacje.

Ładna pogoda. Kotek kaszle. Być może, nabawił się koklusz. Trzeba będzie przygotować parasol z liści palmowych.

\*

O godzinie 1-ej po południu spokojna do niedawna rzeczka zniosła most, otoczyła dom, w którym mieszkam i przerwała groblę, odcinając mi całkowicie odwrót. Uciekłem na dach, ale i tam znalazł mnie rozszalały żywioł. Wyrrywam deski i belki, buduję tratwę.

\*

Siedzę na drzewie. Z tratwy pozostały drzazgi. Woda przybiera. Wspinam się coraz wyżej. Do wierzchołka daleko, a co stanie się ze mną, jeżeli poziom wody podniesie się ponad drzewo?

\*

Słońce! Ileż radości przyniosło mi owego ranka. Teraz dopiero przekonałem się, iż drzewo jest starym korkowcem. Odrywam płyty pulchnej kory na pas ratunkowy.

\*



Był mokry i zziębnięty



Uciekłem na dach



— Nic, tak sobie jadę...

Hej, cóż to za dziwny okręt? Na dziobie nie zauważyłem nazwy, na pokładzie nie widać załogi. Nikt mnie nie widział. Może uda mi się przejechać na gapę. Jestem głodny. Z kuchni dolatuje zapach pieczonej kozłiny z cebulką. Trzeba będzie poprzestać na daktylach, których kilka worków znalazłem w pakamerze. Z pragnienia nie umrę. Woda kapie przez szpary w suficie. Byle mnie tylko nie znaleźli.

\*

Stało się. Ale to jacyś poczciwi ludzie. Z pomiędzy worków wyciągnęła mnie za nogi młoda pani Jafetowa, żona blokmaistra okrętowego. Jak na niewiastę, krzyczała niezdość głośno. Mimo to zadrżały ściany, zbiegła się załoga.

Jakiś stary, łysy jegomość z brodą i faworytami przemówił:

— A panu co tu trzeba?



Dziki mastodont pokąsał pocziwego kalodonta

— Nic, tak sobie jadę — odpowiedziałem lecz słowa te nie zrobiły dobrego wrażenia. Jeden z członków załogi, niejaki p. Cham wyraził zamiar rzucenia mnie do morza.

— Ja co powiem, proszę papy — tłumaczył brodaczowi — jego wartoby wsadzić do worka i przywiązać kamień.

Sprzeciwił się temu stary wilk morski. Mrugnął znacząco i szepnął mi do ucha:

— Żadnych pasażerów przyjmować tu nie wolno, więc ja o panu nic nie wiem. A jakby się kto potem pytał, to sza.

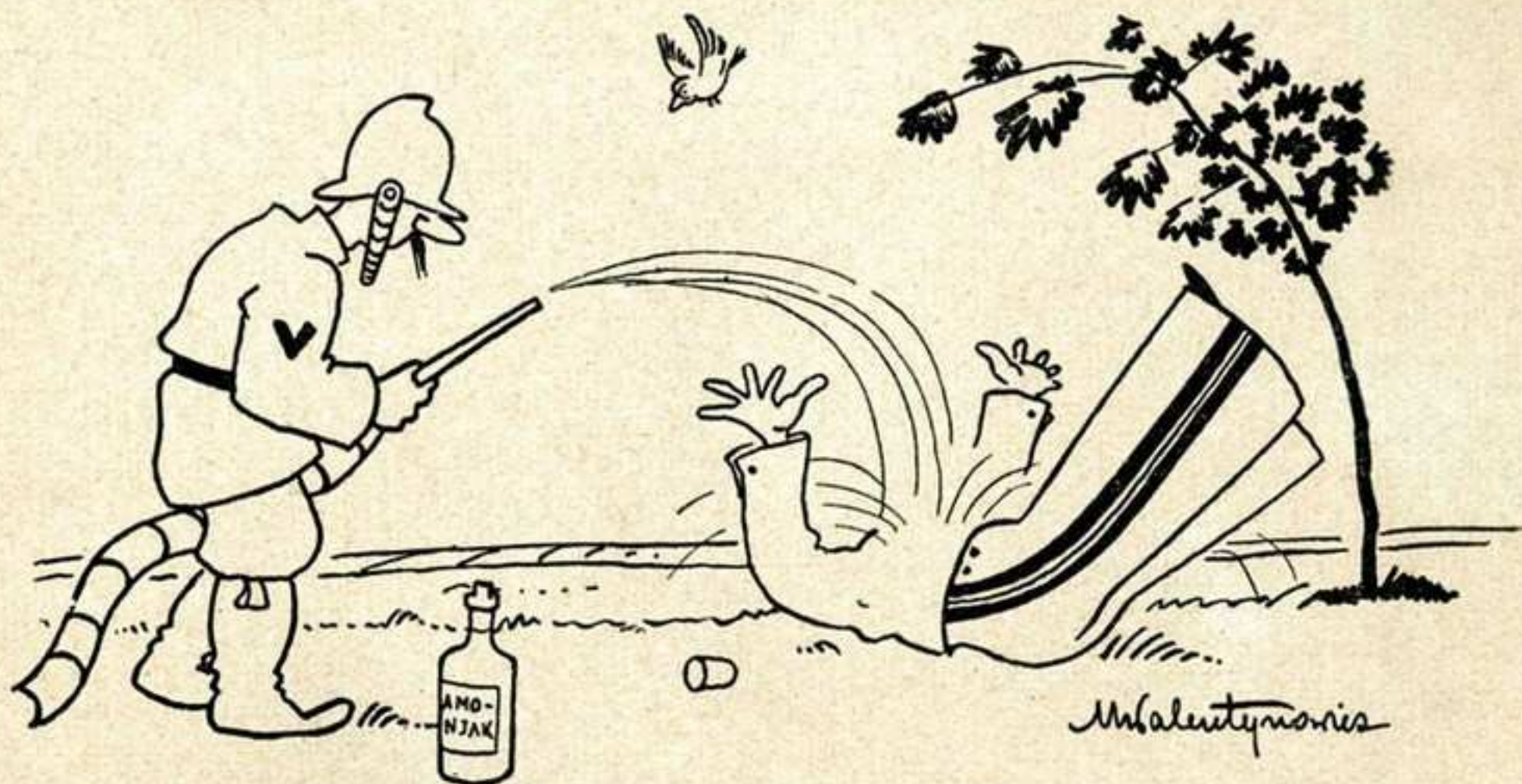
Podziękowałem mu serdecznie.

\*

Dziwne jest serce kobiety. Pani Jafetowa wyprowadziła mnie z ciemnego pakameru i oddała do mej dyspozycji niewielką, ale dobrze urządzonej kajutę. Wieczorem przyniosła gorącą kolację i kilka cegiełek, bym sobie mógł poczytać przed zaśnięciem. Okręt, na którym znalazłem schronienie, jest wędrowną menażerją. Oglądałem ciekawe bestje: marabuty, hardtmuty, mamuty, koguty i t. p. Zwierzęta, choć tresowane, nie żyją w zgodzie. Sam widziałem jak dziki mastodont pokąsał pocziwego kalodonta.

\*

Stanowczo, ten pan Cham coś do mnie czuje. Przyczepia się niewiadomo o co. Oskarżył mnie przed Jafetem, jakoby usi-



*Nicpoń Cham drwił z rodzzonego ojca w sposób wysoce nieprzyzwoity*

łował uwieść mu żonę. Do sprawy wmieszał się siwobrody. Postawiłem się hardo i rzekłem:

— Admirale, proszę mnie zabezpieczyć przed zaczepkami tego Chama.

— To mój syn... — szepnął starzec. Poczulem się nieswojo.

\*

Po czterdziestu dniach monotonnej podróży, na bocianiem gnieździe rozległ się okrzyk:

— Ararat! Uj, Ararat!

We wszystkich kajutach zawrzało. Panie zajęły się toaletą, panowie — lądowaniem. Kapitan Noe (tak brzmi nazwisko starego

naczelnika rodu) wypuścił przez okno gołąbka.

— Jeżeli un wróci z gałązką w pysku — rzekł — to znaczy, że możemy wysiadać i nikt się nie zamacza.

Tresowany gołąbek istotnie wrócił. Przybiliśmy do brzegu.

Znalazłszy się na zielonej murawie, Noe kazał wytoczyć beczułkę wina i urznął się jak nieboskie stworzenie. A ten nicpoń Cham drwił z rodzzonego ojca w sposób wysoce nieprzyzwoity.

Po wytrzeźwieniu, stary śmirus zbeształ go okrutnie i kazał iść precz.

Dzielny staruszek z tego Noego.

*Wł. Zambrzycki*

Ilustrował *M. Walentynowicz*